

Krzysztof Michałek*

***THE UNITED STATES OF ANGER VS.
NOWY KONSENSUS NARODOWY:
STANY ZJEDNOCZONE PRZED, W CZASIE
I PO ZAKOŃCZENIU DRUGIEJ WOJNY IRACKIEJ***

The United States of Anger (Stany Zjednoczone Gniewu) to tytuł książki autorstwa Gavina Eslera, brytyjskiego długoletniego korespondenta sieci BBC w Stanach Zjednoczonych. W wydanej w 1997 r. pracy przedstawił niezwykle ciekawy i plastyczny opis stanu psychologicznego i emocjonalnego amerykańskiego społeczeństwa w minionej dekadzie. W zakończeniu książki pisał: „Gniew, jaki Amerykanie czują w związku z kondycją ich społeczeństwa, jest zjawiskiem pozytywnym. To jest gniew ludzi głęboko kochających swój kraj i pragnących go ocalić. To, w jaki sposób Stany Zjednoczone skanalizują ten gniew i równolegle będą starały się sprostać głębokim niedostatom ekonomicznym, społecznym i politycznym, wyznaczy sposób funkcjonowania większej części świata w XXI stuleciu”¹.

Ocenę Eslera można byłoby uznać bądź za przesadzoną, bądź za nieaktualną z uwagi na zmiany w zbiorowej świadomości Amerykanów wyrosłe z doświadczeń wydarzeń z 11 września 2001 r., gdyby nie fakt, że na początku 2004 r. analitycy amerykańskiej sceny politycznej oraz zbiorowych zachowań Amerykanów używają tych samych co Esler określeń. Dwa szacowne pisma: brytyjski „The Economist” i amerykański „Atlantic Monthly”, są tego najlepszym przykładem. Pierwsze z nich numer z 3 stycznia opatrzyło tytułem *2004. America's Angry Election Year*. Z kolei w drugim w numerze otwierającym ten rok (styczeń–luty 2004) znalazł się – w obszernym omówieniu stanu państwa *State of the Union* – artykuł Paula Starobina pt. *The Angry American*. W obu publikacjach wskazuje się na nowe powody owego niezadowolenia czy społecznego gniewu. Jednym z nich, choć nie jedynym, pozostaje ocena powodów, przebiegu oraz widocznych już konsekwencji amerykańskiego zaangażowania w Iraku.

OKRES PRZEDWOJENNY

Gdy jesienią 2002 r. ukazała się w Stanach Zjednoczonych książka Boba Woodwarta *Bush at War*, a wraz z nią weszły w obieg pierwsze informacje o tym, że

* Prof. dr hab. Krzysztof Michałek – profesor w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, autor ponad 150 publikacji z zakresu dziejów amerykańskich XIX i XX w.

¹ G. Esler, *The United States of Anger. The People and the American Dream*, London 1997, s. 320.

planując wojnę z terroryzmem, administracja George'a W. Busha od samego początku rozważała możliwość uderzenia na Irak (orędownikami tego rozwiązania byli sekretarz obrony Donald Rumsfeld i jego zastępca Paul Wolfowitz, którzy opowiedzieli się za nim w czasie spotkania wąskiego składu gabinetu w Camp David 15 września 2001 r.), to wydawało się, że owa praca przynosi prawdziwe rewelacje². Tymczasem śledząc ton prasy amerykańskiej, zwłaszcza tej o wyraźnie prorepublikańskim nastawieniu, w ciągu kilku miesięcy po ataku z 11 września, można było dojść do przekonania, że rodzi się związek pomiędzy walką z terroryzmem a zwalczaniem reżimu Saddama Husajna. W końcu września 2001 r. formułowany dość oględnie, już w następnym miesiącu stał się widoczny. W artykule pt. *If This Be War* opublikowanym 21 października 2001 r. w „National Review Online” można było przeczytać między innymi: „Jeśli to jest wojna, to nie możemy zwlekać z zakończeniem panowania zła w Iraku, gdzie znajdujemy przykłady wojny bakteriologicznej, arsenału raketowego i stosowania gazów bojowych. Możemy domagać się inspekcji ONZ w podejrzanych obiektach w Iraku i żądać od Bagdadu likwidacji arsenałów. Jeśli te rozsądne propozycje zostaną odrzucone – a zapewne będą odrzucone – powinniśmy przygotować się do skończenia z reżimem terroru Saddama Husajna. Tylko w ten sposób możemy skorygować błąd z końca wojny w Zatoce i zmienić Irak z autokracji w demokrację, a to odrodzenie może wywołać wielkie wrażenie na Arabii Saudyjskiej. (...) Po wydarzeniach z 11 września przyzwolenie na to, by Irak kontynuował swoją ciemną działalność tak jak poprzednio, byłoby podobne do decyzji o nieprzeprowadzeniu inwazji na Włochy w czasie naszej wojny z Niemcami”³.

W takim klimacie rodziło się przekonanie administracji, iż istnieje lub po pewnym czasie powtarzania i rozwijania owej argumentacji – z pewnością – zaistnieje społeczne przyzwolenie na wkomponowanie wojny z Irakiem do strategii wojny z terroryzmem. W efekcie cały rok 2002 był okresem osuwania Amerykanów z tym nieuchronnym, a jednocześnie ostatecznym rozwiązaniem sprawy irackiej. Proces ów rozpoczął się już 29 stycznia 2002 r., kiedy w corocznym przemówieniu o stanie państwa prezydent George Bush użył czytelnej figury stylistycznej, plasując w tzw. osi zła trzy państwa – Koreę Północną, Irak i Iran. Szlak wyznaczony w ten sposób wiódł – jeśli mowa wyłącznie o najważniejszych faktach z zakresu polityki wewnętrznej – od przyjęcia we wrześniu 2002 r. nowej doktryny wojskowej (*The National Security Strategy of the United States*) wprowadzającej pojęcie wojny prewencyjnej, przez uchwalenie przez Kongres w październiku 2002 r. rezolucji wojennej upoważniającej prezydenta do podjęcia działań przeciwko Irakowi w przypadku wyczerpania innych środków nacisku, do zwycięstwa Partii Republikańskiej w wyborach kongresowych z listopada 2002 r. W tych ostatnich zaangażował się prezydent Bush, wspomagając republikańskich kandydatów do obu izb Kongresu. Występował z retoryką wojenną, łącząc wojnę

² Zob. B. Woodward, *Wojna Busha*, Warszawa 2003, rozdz. 6.

³ *If This Be War*, „National Review Online” z 23 października 2001 r., cyt. w: V.D. Hanson, *An Autumn of War. What America Learned from September 11 and the War on Terrorism*, New York 2002, s. 87.

z terroryzmem z zapowiedzią konieczności likwidacji zasobów broni masowego rażenia posiadanych przez Irak. W razie odmowy lub jakichś manewrów ze strony tego państwa prezydent zapowiadał siłowe rozwiązanie tej kwestii. W końcu w kolejnym przemówieniu o stanie państwa z 28 stycznia 2003 r. prezydent podkreślał zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych płynące z rozwijania przez Irak programów budowy broni masowego rażenia oraz związków z ugrupowaniami terrorystycznymi.

Prowadzenie w taki sposób polityki wewnętrznej doprowadziło przede wszystkim do utrzymania wysokiego poparcia społecznego dla prezydenta, jego administracji i jego partii. Wysoki stopień zaufania do prezydenta i jego determinacji w walce z zagrożeniami bezpieczeństwa Amerykanów przełożył się na sukcesy Partii Republikańskiej. W wyborach kongresowych kandydaci republikańscy uzyskali 51% głosów, demokratyczni 46%. Oznaczało to wzmocnienie przewagi pierwszej z wymienionych partii w Izbie Reprezentantów (229 do 205) i ponowne przejęcie kontroli nad Senatem (51 do 48). Co więcej, wybory 2002 r. przyniosły również przewagę Partii Republikańskiej w stanowych legislaturach (o 144 mandaty więcej niż demokraci). Sukces był imponujący, zważywszy na fakt, że podobna sytuacja w legislaturach stanowych miała miejsce... pięćdziesiąt lat wcześniej, w rezultacie wyborów z 1952 r. Jeśli do tego dodać, że Partia Republikańska dysponowała również nieznaczną przewagą, gdy mowa o obsadzie stanowisk gubernatorów stanowych (26 do 24), to nasuwał się wniosek, że Stany Zjednoczone zmierzają w kierunku przewagi republikańskiej, ostatni raz tak wyrazistej na wszystkich szczeblach władz w latach... dwudziestych ubiegłego wieku.

Drugi bardzo wyrazisty skutek widoczny na gruncie wewnętrznym uprawianej przez prezydenta i jego administrację polityki wobec Iraku to odtworzenie i pogłębienie się silnej polaryzacji w układzie partyjnym. Zjawisko nie było niczym nowym. Nie sięgając daleko wstecz, wystarczy wspomnieć o wojnie międzypartyjnej widocznej w latach dziewięćdziesiątych (sukces Partii Republikańskiej w wyborach kongresowych 1994 r., procedura *impeachmentu* wobec prezydenta Billa Clintona z lat 1998–1999 i w końcu ocena przebiegu i skutków wyborów prezydenckich z 2000 r.). W rezultacie tych wydarzeń pojawiło się po 2000 r. pojęcie „50/50 Nation”. Odzwierciedlało ono podział na tle politycznym i społecznym występujący po raz pierwszy w tym stopniu i skali od lat sześćdziesiątych, a zatem od lat rebelii młodzieżowej, napięć związanych ze stosunkiem do *Civil Rights Movement* oraz wojną wietnamską. Po ataku z 11 września 2001 r. oraz w trakcie przygotowań do wojny w Afganistanie wspomniany podział ustąpił konsolidacji wokół państwa i jego instytucji. Oznaczało to w praktyce zakopanie przysłowiowego topora wojennego przez obie partie. Wprawdzie wciąż różniły się one stopniem akceptacji dla George’a W. Busha, ale rozpiętość ocen nie była tak znaczna jak jeszcze pół roku wcześniej. W końcu 2001 r. poparcie dla prezydenta w jego własnej partii sięgało ponad 95%, a w przypadku twardego elektoratu Partii Demokratycznej przekroczyło 83%. Tę koncentrację wokół flagi – jak w skrócie określa się owo zjawisko w USA – wyrażała również postawa wielkiego

przegranego z wyborów prezydenckich 2000 r., Ala Gore'a. Po tym jak prezydent Bush sformułował już plan walki z Al-Ka'idą, Al Gore podkreślił w wygłoszonym w Des Moines przemówieniu z 29 września 2001 r.: „George W. Bush jest moim głównodowodzącym”⁴.

Stopień akceptacji dla Busha i jego administracji zmieniał się w trakcie 2002 r. w związku z polityką wobec Iraku, choć nie tylko. Podczas gdy w elektoracie Partii Republikańskiej wahał się w pobliżu 90%, to wśród wyborców demokratycznych spadł pod koniec 2002 r. do poziomu 33–43% (wahania miesięczne zależne od konkretnych impulsów i wydarzeń). Tak dramatyczny rozróżnienie ocen związanych z osobą prezydenta i jego polityki irackiej oznaczał nie tylko powrót do stanu „50/50 Nation”, ale dodanie do wcześniej występujących różnic między obu partiami kolejnego elementu w postaci wątku irackiego. Obie partie wyraźnie okopywały się na przełomie 2002–2003 roku na pozycjach pro- i antibushowskich, a przewidywana wojna z Irakiem stanowiła katalizator owych postaw, tak jak przyspieszała i pogłębiała podziały w stosunkach międzynarodowych.

Wyrazistość owych podziałów wewnętrznych byłaby jeszcze większa na początku 2003 r., gdyby nie wzmagające się właśnie w tym samym czasie napięcie w relacjach pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a ich sojusznikami lub partnerami na arenie międzynarodowej. Narastający konflikt, wpierywający USA a Niemcami, a później również Francją, na tle stosunku do efektywności kontroli podjętych przez inspektorów ONZ w grudniu 2002 r., i szerzej na tle stosunku do przewidywanej wojny z Irakiem z poparciem ONZ lub bez niego, sprawiły, że powrócił na moment efekt jednoczenia się wokół flagi, choć nie w tak silnym stopniu jak w 2001 r. Zwalczenie antyamerykanizmu prezentowanego we Francji przyjęło formę walki na słowa i symbole w pierwszych miesiącach 2003 r. Boykot typowo francuskich towarów, jak perfumy, ubiory, wina i sery, zastępowanie nazwy frytki – *french fries* nową *freedom fries* i określanie francuskich sosów *french dressing* mianem *liberty dressing*, stało się dopełnieniem w formie gestów poważnej batalii w związku ze stosunkiem do Iraku prowadzonej przez oba rządy na forum międzynarodowym. Owe gesty były udziałem polityków zarówno republikańskich, jak i demokratycznych. Nic też dziwnego, że stopień poparcia dla prezydenta ze strony twardego elektoratu demokratów utrzymywał się w tym czasie na poziomie 43–45%. I jakkolwiek zarówno w tamtym momencie, jak i obecnie walka na słowa i gesty wyglądała w najlepszym przypadku groteskowo, to przyniosła pewien pożądany efekt wewnętrzny. Obrona dumy narodowej naruszonej przez ataki europejskich oponentów nadchodzącej wojny stała się nie mniej ważna niż problem bezpieczeństwa państwa zagrożonego ze strony broni masowego rażenia pochodzenia irackiego.

W ostatnich dwóch tygodniach przed rozpoczęciem działań wojennych motywacja podjęcia działań wojennych była prezentowana przez prezydenta i członków jego administracji w sposób bardzo zróżnicowany, włącznie z argumentacją pod-

⁴ K. Michałek, *Amerykańskie Stulecie. Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki, 1900–2001*, Warszawa 2004, s. 769.

kreślającą chęć demokratyzacji Iraku i regionu. Ostatecznie jednak w przemówieniu wygłoszonym przez prezydenta Busha 20 marca 2003 r., a zatem w dniu rozpoczęcia wojny z Irakiem, kwestia obrony państwa amerykańskiego przed zagrożeniem irackim arsenałem broni masowego rażenia została wyeksponowana jako zasadniczy powód podjęcia działań wojennych.

OKRES WOJNY (20 MARCA–1 MAJA 2003 R.)

Początek wojny nie był specjalnym zaskoczeniem dla Amerykanów, gdyż wiele tygodni trwało oswojenie ich przez administrację z nieuchronnością owego konfliktu. Wydarzenie to przyjęto ze zwykłą zatem ciekawością. Oglądalność programów informacyjnych, zwłaszcza w sieci CNN, wzrosła o 53% w pierwszych czterech dniach wojny.

Zainteresowaniu towarzyszył widoczny wzrost uczuć patriotycznych. Po upływie pierwszego kwartału 2003 r. odnotowano zwiększenie o 25% liczby sprzedawanych flag amerykańskich. W sondażach przeprowadzonych przez sieć CNN i tygodnik „Time” po upływie pierwszego tygodnia wojny większość Amerykanów akceptowała poczynania prezydenta Busha (67% do 30%), przygotowując się na co najmniej kilkumiesięczną wojnę (46% respondentów sądziło, że działania potrwać od 4 do 12 miesięcy, a 32% oceniało jej czas na 1–3 miesiące). Sondaż wskazywał także na pewien określony poziom strat własnych, z którym godziła się większość ankietowanych (59% akceptowało straty w granicach do 500 zabitych, a wyraźny brak akceptacji wyznaczał próg 5000 zabitych – w takich okolicznościach 50% respondentów nie popierałoby wojny, a tylko 34% nadal godziło się na jej kontynuowanie). W podobnych proporcjach kształtowała się ocena strat cywilnych po stronie irackiej. Przyzwolenie na działania, w rezultacie których mogło zginąć co najmniej 500 osób, wyrażało 63% pytanym i dopiero przy liczbie 5000 zabitych Irakijczyków 47% Amerykanów odmówiłoby przyzwolenia na dalsze prowadzenie wojny, a 40% godziłoby się na jej prowadzenie. Ważnym wskazaniem, co Amerykanie uznaliby za osiągnięcie w tej wojnie, była odpowiedź na pytanie: „Czy akcję militarną uznasz za sukces, gdy Saddam Husajn zostanie pozbawiony władzy, ale nie zostanie zabity lub schwytany?”. Tylko 34% pytanym odpowiedziało pozytywnie, a 62% nie uznałoby tego za sukces militarny⁵.

Sondaż ten wskazywał na granice przyzwolenia dla administracji i choć wydawało się, że był jednym z wielu publikowanych w owym czasie, po upływie blisko roku od jego przeprowadzenia trudno przecenić znaczenie tego badania. Bieg zależnych od administracji wydarzeń z okresu wojny wskazywał bowiem, że bardzo dosłownie odczytała ona jego wskazania. Mowa tu przede wszystkim o zdobyciu kontroli nad Bagdadem i obaleniu pomnika Saddama Husajna. To ostatnie zdarzenie (wspierane przez żołnierzy amerykańskich czynnie pomagających Irakijczykom w demontażu pomnika) miało wywołać wrażenie, iż rezultat militarny wojny – odsunięcie tyrana od władzy, a nawet niemal dosłowne jego

⁵ „Time” z 7 kwietnia 2003 r., s. 42.

obalenie – został osiągnięty. Nie przypadkiem też obalenie pomnika Saddama Husajna w dniu 9 kwietnia 2003 r. było prezentowane w mediach amerykańskich jako niemal symboliczny koniec wojny, choć z formalnym ogłoszeniem końca działań wojennych administracja poczekała jeszcze trzy tygodnie. Tygodnik „Time” wprowadził na okładkę numeru z 21 kwietnia 2003 r. przekreśloną krzyżykiem twarz Saddama Husajna. Wymowa tego faktu medialnego była tak oczywista, jak w przypadku innego numeru tego samego tygodnika, ale z maja 1945 r., kiedy na okładce pojawił się wizerunek Adolfa Hitlera przekreślonego czerwoną kreską.

Powracając jednak do początku wojny, trudno uznać też za dzieło przypadku, że w dzień po rozpoczęciu operacji wojskowych Kongres podjął kierunkowe decyzje dotyczące kształtu budżetu państwa na rok 2003–2004. Izba Reprezentantów uchwaliła 21 marca, a Senat 25 marca rezolucje budżetowe, inicjując w ten sposób proces przyjmowania budżetu w wysokości 2,2 bln USD, zakładającego cięcia podatkowe rządu 726 mld USD. Kolejny budżet z rosnącym deficytem oraz wkomponowanym programem cięć podatkowych łatwiej można było przyjąć, korzystając z uzyskanej w poprzednim roku przewagi w obu izbach Kongresu, ale także w atmosferze patriotycznej odpowiedzialności za kraj, w której jawna opozycja lub obstrukcja ze strony Partii Demokratycznej byłaby działaniem samobójczym. Rachuby te sprawdziły się w pełni. W dodatku nieoczekiwanie szybki koniec kampanii związanej z zajęciem Bagdadu ułatwił administracji przyjęcie przez Kongres 12 kwietnia 2003 r. *War Funding Bill*, a zatem ustawy autoryzującej wydatki wojenne w wysokości 79 mld USD. Administracja wprowadziła w tym czasie w obieg informację, że podatnik faktycznie zaoszczędził pieniądze, gdyż wojna potrwała krócej, niż przewidywano.

Zdobycie Bagdadu, a później Tikritu, rodzinnego miasta Saddama Husajna, doprowadziło do uznania przez administrację, że operacje wojskowe się zakończyły. Prezydent formalnie ogłosił to w dniu 1 maja 2003 r. w okolicznościach szczególnych. Ubrany w uniform pilota wojskowego przyleciał samolotem wojskowym na wracający do kraju lotniskowiec *Abraham Lincoln*. Ogłoszenie końca „głównych operacji wojskowych” wprowadziło formalnie nie stanowiło końca wojny (ślad świeżych wciąż doświadczeń z Afganistanu, gdzie po obaleniu reżimu talibów i sformowaniu nowego rządu wciąż trwały operacje wojskowe z udziałem wojsk amerykańskich), ale w odbiorze społecznym i politycznym mogło wywołać wrażenie – zwłaszcza uwzględnivszy scenę obalania pomnika Husajna w Bagdadzie – że wojna jednak dobiegła końca. Zwycięski prezydent, kończący krótką kampanię wojenną przeciwko złu, którego personifikacją stał się Saddam Husajn, jak się wydawało – w tym momencie nie tylko kończył wojnę, ale również otwierał kolejny ważny rozdział w swoim życiorysie i w zbiorowym życiorysie Amerykanów, rozdział związany z przygotowaniem do kampanii wyborczej 2004 r. Nie przypadkiem zatem tygodnik „Time”, prezentując w numerze z 19 maja 2003 r. zadowolonego prezydenta ubranego w kombinezon lotniczy, pytał, odnosząc się do tych dwóch sytuacji jednocześnie: *Can This Man Be Beaten?* Redaktor naczelny tygodnika, James Kelly, uznał, że był to faktyczny początek

kampanii wyborczej Busha. Jeden zaś z głównych komentatorów tygodnika, Joe Klein, podjął nie tyle analizę aktywów urzędującego lokatora Białego Domu, ile przede wszystkim przegląd braków jego rywali ubiegających się o nominację Partii Demokratycznej. Kończąc tę analizę, autor podkreślał, że będzie to pierwsza elekcja prezydencka po ataku z 11 września i z tego powodu przynieść może wiele niespodzianek. Formułując pewne rady dla kandydatów demokratycznych, wskazywał: „Mówcie, co myślicie, marzcie tylko odrobinę, mówcie ludziom nieco tych prawd, których nie chcą słuchać. Bądźcie wściekli, bądźcie zabawni. Ale przede wszystkim oferujcie prawdziwą alternatywę. Republikanie oferują mniejszy rząd. Demokraci, w najlepszym przypadku, oferują bardziej odpowiedzialny rząd. Bezpośrednie starcie tych dwóch zasad stanowi wystarczający argument dla wyborów takich, których kraj bardzo potrzebuje”⁶. W prawie pięć miesięcy później, 6 października, ten sam tygodnik zaprezentował kolejne zdjęcie prezydenta Busha na pokładzie lotniskowca *Abraham Lincoln*, tym razem z podpisem: *Mission not Accomplished*. W samym numerze zaś analizowano powody niepowodzeń amerykańskich w Iraku oraz ich skutki dla szans wyborczych prezydenta Busha.

OKRES POWOJENNY (OD 1 MAJA 2003 R.)

Rozbudowana analiza różnych aspektów operacji powojennej w Iraku w okresie po 1 maja 2003 r. znajduje się w innych esejach zawartych w tym tomie. Wymieniając tylko niektóre elementy sytuacji, i to przede wszystkim te ważne w odbiorze społecznym lub dla polityków krajowych, zwrócić należy uwagę przede wszystkim na:

a) sam fakt stacjonowania w Iraku amerykańskich sił zbrojnych tylko nieznacznie mniejszych od tych biorących udział w wojnie. Brak znaczących redukcji sił operujących w Iraku jest frustrujący dla samych żołnierzy, a także ich rodzin, dla których obecność licznego kontyngentu w okresie formalnie powojennym kłóci się z opinią prezydenta o zakończeniu głównych operacji wojennych;

b) straty poniesione przez wojska amerykańskie, w końcu marca 2004 r. już wyższe od tych poniesionych w regularnych walkach w czasie wojny. Straty łączne (ponad 550 żołnierzy) przekroczyły pierwszy próg odporności społecznej wykazany w omawianej wyżej ankiecie z marca 2003 r. Przekroczenie tej granicy będzie zmniejszać – i to niezależnie od innych czynników – poparcie społeczne dla dalszej obecności w Iraku;

c) tempo narastania strat: wyraźnie powiększające się w okresie do schwytania Saddama Husajna w grudniu 2003 r. – stanowiło także czynnik pogarszający nastroje społeczne;

d) formy ponoszenia owych strat: zestrzelenie śmigłowców czy samolotów wojskowych w odbiorze społecznym może oznaczać przekształcanie się oporu niedobitków poprzedniego reżimu w walkę z dobrze zorganizowaną i wyposażoną partyzantką lub organizacjami terrorystycznymi;

⁶ „Time” z 19 maja 2003 r., s. 26.

e) gwałtownie rosnące koszty wojskowej obecności w Iraku – już 7 września 2003 r. prezydent wezwał Kongres do uchwalenia dodatkowego pakietu obejmującego koszty operacji wojskowych i odbudowy Iraku w roku budżetowym 2003/2004. Pakiet w wysokości 87 mld USD, z czego 66 mld USD przeznaczonych na koszty operacji wojskowych w okresie powojennym, przekroczył budżet samej operacji wojskowej zamkniętej 1 maja 2003 r. Lawinowo rosnące koszty operacji w okresie powojennym destabilizują budżet ponad miarę możliwą do racjonalnego wytłumaczenia zarówno zwolennikom, jak i przeciwnikom Partii Republikańskiej;

f) brak powodzenia w poszukiwaniach broni masowego rażenia w Iraku, której istnienie i zagrożenie dla bezpieczeństwa amerykańskiego było bezpośrednim powodem podjęcia działań wojennych. Problem ten kilkakrotnie wracał do dyskusji medialnej i politycznej w USA w okresie powojennym. Po raz pierwszy w lipcu 2003 r., kiedy administracja – pod wpływem nacisku mediów – przyznała (7 lipca), że informacje na temat obecności broni masowego rażenia w Iraku były przesadzone. W rezultacie 22 lipca szef CIA, George Tenet, przyznał, że informacje o irackim arsenale atomowym nie powinny być się znaleźć w przemówieniu prezydenta Busha o stanie państwa ze stycznia 2003 r. Po raz drugi sprawa wróciła na początku 2004 r. Pod wpływem Kongresu, a zwłaszcza ataku ze strony Partii Demokratycznej, prezydent postanowił na początku lutego 2004 r. utworzyć specjalną komisję mającą wyświetlić prawdę na temat raportów CIA w sprawie zagrożenia bronią masowego rażenia ze strony Iraku. Fundamentalne znaczenie całej sprawy dla wiarygodności administracji na wewnętrznej scenie politycznej i na forum międzynarodowym, a także zmiany w sposobie prezentacji stanowiska władz wobec tej kwestii, powodują, że pojawiają się naturalne skojarzenia z aferą z Pentagon Papers z 1971 r. czy aferą Iran-contras z lat 1986–1987;

g) utrzymywanie się w okresie powojennym wysokiego poziomu emocji negatywnych wobec Stanów Zjednoczonych, i to nie tylko w Iraku czy regionie, ale również w Europie. Wciąż wysoki poziom antyamerykanizmu sprawia, że nie tylko analitycy publikujący w „Foreign Affairs” zajmują się tą kwestią⁷, ale również piszący dla innego typu odbiorcy wskazują na to zjawisko. Nie przypadkiem brytyjski tygodnik „The Economist” w numerze z 8 listopada 2003 r. już na okładce sygnalizował zasadniczy problem będący pochodną operacji irackiej, a dotyczący... Stanów Zjednoczonych. Czy pozostają one *Greatest danger* czy też *Greatest Hope* dla świata?⁸

Wymienione wyżej problemy występujące w całym okresie zapoczątkowanym wystąpieniem prezydenta Busha z 1 maja 2003 r. lub w pewnej jego części powodują, że w odbiorze społecznym i politycznym wojna z Irakiem się nie zakończyła. Dyskusja na temat jej przyczyn i skutków, zamiast zmniejszać swój rozmiar i znaczenie, narasta. W dodatku, ponieważ przypada na okres wyborczy,

⁷ Zob. np. J. Waterbury, *Hate Your Policies, Love Your Institutions*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2003, t. 82, nr 1.

⁸ Zob. *A Nation apart. A Survey of America*, „The Economist” z 8 listopada 2003 r., sekcja specjalna po s. 54.

powoduje, że po raz pierwszy od kampanii wyborczej 1968 r. wybory prezydenckie stają się okazją do bardzo poważnej debaty politycznej nad istotą amerykańskiej obecności w świecie oraz formami sprawowania w nim przywództwa. Inaczej mówiąc, po raz pierwszy od końca lat sześćdziesiątych polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych może być postrzegana przez przeciętnego wyborcę jako sfera, w której i on sam, i kandydaci do prezydentury muszą się jasno określić. Stwarza to kandydatom z Partii Demokratycznej okazję do łatwiejszej krytyki administracji republikańskiej w czasie prawyborów, ale też wymusi na ostatecznym nominacie demokratów konieczność budowy wyrazistego alternatywnego programu zarówno w odniesieniu do Iraku, wojny z terroryzmem, jak i szerzej, obecności USA na arenie międzynarodowej.

Ponadto warto podkreślić, że przebieg powojennej operacji w Iraku, a zatem obecność licznej armii amerykańskiej w tym kraju i prowadzenie przez nią działań nie tylko czysto porządkowych, ale niekiedy po prostu bojowych z użyciem śmigłowców i ciężkiego sprzętu, prowadzić może do efektu społecznego w postaci zwątpienia co do sensu całego przedsięwzięcia. Tylko na krótko proces ten został przerwany momentem prawdziwego tryumfu, gdy 13 grudnia 2003 r. zatrzymano Saddama Husajna. Odzyskanie działań partyzanckich/terrorystycznych na przełomie stycznia i lutego sprawiło, że satysfakcja społeczna w USA wynikająca ze schwymania głównego wroga zaczyna przygasać.

Należy wreszcie zwrócić uwagę, że z różnych powodów wojnę z marca i kwietnia 2003 r. prowadzono, używając metaforyki i metapojęć. Operację wkroczenia wojsk koalicyjnych do Iraku administracja nazwała operacją wyzwolenczą, co znalazło swoje odbicie w kryptonimie „Operation Iraqi Freedom”. W czasie walk zakazywano wojskom amerykańskim prezentowania postaw tryumfalistycznych, wywieszania flag amerykańskich na zdobytych pozycjach przeciwnika itp. Po zakończeniu wojny operacje powojenne nazwano misją stabilizacyjną, a żołnierzy oraz społeczeństwo amerykańskie administracja przekonywała o pozytywnym nastawieniu ludności do amerykańskich oddziałów jako armii wyzwolenczej. Konsekwentnie budowany model tej wojny kłócił się i nadal pozostaje w sprzeczności z realiami sytuacji w Iraku i postaw ludności tego kraju wobec sił amerykańskich. W odbiorze społecznym w Stanach Zjednoczonych zaciera się zatem obraz realnych dokonań żołnierzy amerykańskich. Z tego powodu w miastach amerykańskich wita się powracające, nieliczne przecież oddziały, organizując nie typowe dla wygranej i zakończonej wojny *Victory Parade*, ale tzw. *Heroe's Parade*. To rozróżnienie pomiędzy wojną a postawą żołnierzy zostało również podkreślone przez tygodnik „Time”, gdy wybrał on na człowieka roku 2003 „The American Soldier”⁹. Starszy czytelnik tego pisma, pamiętający czasy wojny koreańskiej, miałby oczywiste skojarzenia z innym numerem tego pisma. Człowiekiem roku 1950 okazał się bowiem żołnierz amerykański walczący w Korei. Wysilek żołnierzy i całej armii, heroizm pojedynczego człowieka, a zarazem dystans do wojny jako takiej, jej sposobu prowadzenia w sensie politycznym i militarnym,

⁹ Zob. „Time” z 29 grudnia 2003 r. i 5 stycznia 2004 r., s. 36–41.

a w końcu oddzielenie ludzi służących krajowi od samej sprawy, w której ten kraj występuje, były powodami, dla których „Time” z 1950 i „Time” z 2003 r. przyznał tytuł człowieka roku żołnierzowi amerykańskiemu. Dopowiadając rzecz do końca, nazwać to należy działaniem „ku pokrzepieniu serc” i samych żołnierzy, i ich rodzin oraz całego społeczeństwa, które im dalej w czasie, tym coraz większe trudności ma z jednoznacznie pozytywną oceną prowadzonej przez swoje państwo wojny.



Formułując pewne wnioski całościowe dotyczące wpływu wojny irackiej na amerykańskie społeczeństwo i politykę wewnętrzną, podkreślić należy dwudzielny charakter doświadczeń z niej płynących. Można zatem bez większego ryzyka mówić o powtarzaniu się sprawdzonych na gruncie amerykańskim reakcji i mechanizmów: na początku wojny konsolidacja społeczeństwa i głównych partii wokół instytucji państwowych, symboli narodowych i sił zbrojnych. W miarę przedłużania się wojny (w przypadku wojny z Irakiem mowa tu o fazie po 1 maja 2003 r.) pierwotna konsolidacja zaczyna ustępować miejsca regularnej grze politycznej, tym gorętszej, im bardziej wojna pokrywa się z kalendarzem wyborczym. W tym też sensie wojna z Irakiem, przenosząc się na okres kampanii wyborczej 2004 r., zbliża obecne pokolenie Amerykanów do doświadczeń pokoleń wcześniejszych, głosujących w czasie wyborów prezydenckich 1944 r., a w jeszcze większym stopniu do wyborów z 1952 r. W obu przypadkach ocena sprawującej władzę administracji była dokonywana z punktu widzenia postępu czy regresu w kampanii wojennej.

Inny wymiar owych bieżących doświadczeń wojennych ma związek z erozją czegoś, co – jak się wydawało po ataku z 11 września 2001 r. – stanowić będzie na długie lata ważną cechą amerykańskiego życia społecznego i politycznego. Po 11 września odrodził się tzw. konsensus narodowy, a zatem dominująca cecha amerykańskiego życia społecznego i politycznego z pierwszych piętnastu lat po drugiej wojnie światowej: pełna akceptacja państwa, konsolidacja wokół jego instytucji, wiara w polityków jako strażników systemu itp. Ten konsensus uległ dezintegracji w latach sześćdziesiątych i powrócił dopiero po wydarzeniach z 11 września. To właśnie wówczas pojawiły się manifesty, jak ten pt. *What We Are Fighting For* podpisany przez grupę intelektualistów z różnych środowisk akademickich i o różnych zapatrywaniach politycznych (obok siebie znaleźli się bowiem między innymi: Francis Fukuyama, Samuel Huntington, Daniel Patrick Moynihan, Michael Novak, David Gutmann). Definiowano w nim podstawowe zasady, na których opierają się stosunki we współczesnym świecie (wolność i równość ludzi i prawo do godnego życia; podstawą społeczeństwa jest jednostka ludzka, a zadaniem prawomocnej władzy jest dbałość o rozwój człowieka; naturalnym zamiarem człowieka jest poszukiwanie prawdy o celu życia i jego końcu; wolność sumienia i wyznania są niezbywalnymi prawami człowieka; zabijanie w imię Boga jest sprzeczne z wiarą w Boga i stanowi zdradę fundamentów wiary).

Przysięgano solennie ich bronić w trudnym świecie uwikłanym w wojnę globalną, w czasie której istnieje naturalna pokusa ich łamania¹⁰. Manifesty tego rodzaju były odpowiedzią zarówno na sam terroryzm autorstwa fundamentalistów islamskich, jak i na ewentualną pokusę zamienienia wojny z terroryzmem w wojnę religijną, systemową czy ideologiczną. Odgrywały rolę spoiwa dla amerykańskiego społeczeństwa. Stanowiły współczesny odpowiednik historycznych wyznań amerykańskiej wiary w wolność i sprawiedliwość, a zarazem przywiązania do państwa, jak *The Pledge of Allegiance to the Flag* z 1892 r. czy *American Creed* z 1918 r.

Budowany na podstawie wspomnianego i podobnych mu innych dokumentów Nowy Konsensus Narodowy został jednak wystawiony na pierwszą wielką próbę trwałości w okresie przygotowań, przebiegu, a przede wszystkim po zakończeniu wojny z Irakiem. Część tego Nowego Narodowego Konsensusu nadal pozostaje nietknięta, ta mianowicie, która dotyczy bezpośrednio samych wartości. Jednak obiektywnie występujące kontrowersje dotyczące charakteru wojny w Iraku, jej legalności, jej zasadności, jej formuły końcowej, jej projektowanych przez organizatorów skutków, podsycane dodatkowo przez rosnące napięcie przedwyborcze, sprawiają, że inna część Nowego Konsensusu Narodowego, ta związana z zaufaniem do państwa, jego instytucji i przywódców, ulega erozji. Przebieg kampanii wyborczej z 2004 r. może powstrzymać, ale równie dobrze przyspieszyć ten proces. Jeśli sprawdzi się ten drugi wariant, to powróci zjawisko znane z lat dziewięćdziesiątych, a tak dobrze prezentowane przez Gavina Eslera – *The United States of Anger*.

¹⁰ Tekst manifestu w: J.B. Elshtain, *Just War Against Terror. The Burden of American Power in a Violent World*, New York 2003, s. 182–198.